

Jacek Karpiński

część IV z VI

Sygnatura notacji: **N0203**

Data urodzenia: **09.04.1927 r.**

Data nagrania: **11, 14.09.2008 r.**

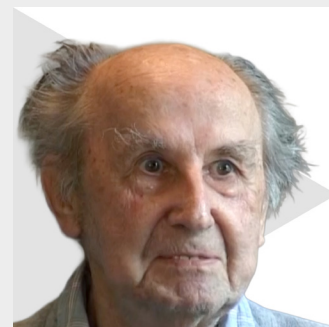
Miejsce nagrania: **Dom świadka, Zakopane, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna T. Pietraszak**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 59 min, część III: 59 min,
część VI: 59 min, część IV: 37 min, część V: 52 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jacek Karpiński: Gdzieś tak w końcu lat 40., nie pamiętam dokładnie, czy to był rok 1948 czy 1949, to był wielki terror wtedy, bo ginęli masowo ludzie, którzy wrócili z Anglii, którzy inteligencja, akowcy, którzy po prostu znikali. I zniknął również Janusz Klarner. I ja słyszałem od kogoś, który powiedział, że był razem... że widział Janusza Klarnera w siedzibie UB, to było w Warszawie na Pradze, przy Pomniku Czterech Smutnych, to nie było więzienie, to było jakieś dowództwo UB, że tam w piwnicy, w lochach jakichś, widział więźniów, między innymi Janusza Klarnera, którzy stali w wodzie powyżej kolan, w celi betonowej, że nie mogli ani usiąść, ani nic, bo woda była. Ale straciłem kontakt z tym człowiekiem. Później rodzina Klarnera odnalazła podobno tego człowieka, który się wyparł tego, że go widział, ale mnie powiedział, że widział. Ale wtedy to był okres, kiedy ludzie ginęli i nie wiadomo było, w jaki sposób, i nigdy ich nie odnaleziono, ani w więzieniu, ani nigdzie. Po prostu ślad ginął. Natomiast były pogłoski, słyszałem, o tym się głośno mówiło, że były w Warszawie wykopane jakieś duże baseny napełnione kwasem solnym i tam po prostu ludzi wrzucali, i oni się rozpuszczali. Rozpuszczali ludzi, żeby nie było żadnych śladów. I w ten sposób ludzie ginęli absolutnie bez śladu. To był czas wielkiego terroru. Właściwie aż do 1956 roku. Ja byłem wtedy na politechnice, ale ja ledwo chodziłem i mnie dawali spokój. W 1948 roku była akcja przyznawania się do tego, że było się w AK. To był może błąd, a może nie był błąd, nie wiem, ale ogół się ujawnił. No i w rok później, właśnie w 1949 roku, niektórych już w 1948 roku UB poaresztowało, Niektórych wykończyli zupełnie od razu, a niektórych zesłali do kamieniołomów, do kopalni jakichś kamieni, węgla. Ponieważ ja byłem sparaliżowany, to mnie dali spokój, tylko że przesłuchiwali ciągle no i namawiali, żebym ja wstąpił do związku, ZMP się nazywało czy ZWM, nie pamiętam, jak się tam nazywało. Ja odmawiałem, ale generalnie dali mi spokój, tylko że przesłuchiwali. No to wróćmy do powstania. Bo ostatnio, jak wczoraj nagrywaliśmy, mówił pan, że to był sierpień, nadchodził sierpień, na który wszyscy bardzo czekali. Tak,

mieliśmy coraz częściej zbiórki, takie dyżury właściwie bojowe, i czekaliśmy na sygnał. No i 1 sierpnia, ja byłem dowódcą sekcji i moja sekcja była już zebrana, dyżurowała właśnie tam na Mokotowie, na ulicy Obserwatorów 22. Ja miałem, jak mówiłem już, bagażnik broni, amunicji. I przyszedł o dwunastej łącznik, że o godzinie trzeciej mamy zbiórkę, punkt wypadowy na Placu Zawiszy, że tam mamy się stawić z całą sekcją i z bronią. Z tym, że był wyraźny rozkaz, broń ma być załadowana na jakiś pojazd i nie wolno nam mieć broni przy sobie. Był wyraźny rozkaz. Ja mimo wszystko wziąłem swój prywatny pistolet za pas, ale reszta mojej sekcji była bezbronna. I trzeba było... Ponieważ było dużo w magazynie broni, między innymi miałem sześć PIAT-ów, PIAT-y to były rusznice przeciwpancerne amerykańskie, były pistolety maszynowe, było dosyć dużo amunicji, materiały wybuchowe, granaty, filipiny. Trzeba było wykombinować jakiś transport. No ale ani samochodu, ani nic. A do Śródmieścia to było jednak przeszło 10 kilometrów, nie wiem, tam 12 pewnie. To była godzina dwunasta. Już się zrobiło właściwie w pół do pierwszej. Ja wysłałem dwóch ludzi, żeby poszukali jakiegoś podwoda, jakiejś furki z okolicznej wioski gdzieś tam. Oni długo szukali i w końcu, o godzinie dopiero drugiej, przyjechała fura z woźnicą załadowana słomą. Więc myśmy prędko broń przerzucili na tę furę i gazem, zanim żeśmy zapakowali i tak dalej, tak 15 minut minęło, to już było piętnaście po drugiej, a mieliśmy być o trzeciej 12 kilometrów stąd. Więc my biegiem, koń kłusem i taką tyralierą, można powiedzieć, wóz, później my, ganiamy przez te ulice, ulicą Puławską, później przy parku Dreszera, do Alei Niepodległości i Aleję Niepodległości chciałem do Koszykowej, i tam chciałem skrócić w lewo wzdłuż Filtrów. a później chciałem już bezpośrednio tam blisko Placu Zawiszy. No więc my ganiamy, to było cholernie podejrzane, bo w końcu 6 młodych ludzi biegnie za furą. A my w dodatku... No ale jakoś tak żeśmy dobiegli do ulicy Koszykowej właśnie i chcieliśmy skrócić w lewo, wzdłuż Filtrów, i niestety tam już było zabarykadowane. Jedyna droga to była wprost, Chałubińskiego. Tam się zaczynała ulica Chałubińskiego. Teraz się jakoś inaczej nazywa, prawda? I jak my chcieliśmy... Ale tam był szlaban niemiecki, warta, bo tuż obok było Ministerstwo Komunikacji dawne i tam byli tak zwani banszuce i esesmani, stacjonowali tam, 300 czy 400 Niemców było. I jak żeśmy chcieli... Szlaban był otwarty, więc my biegiem wprost do Chałubińskiego, przez ten szlaban. Ale fura z woźnicą, jak podjeżdżała po ten szlaban, to Niemcy zaczęli opuszczać. I furę jeszcze przepuścili, a nas zatrzymali. Bo w tym momencie rozległy się jakieś detonacje, strzały, już wyraźnie coś się zaczęło. Były serie z PM-ów, wybuchy jakieś i Niemcy już wiedzieli, że, oj, coś niedobrze, a tutaj sześć chłopaków biegnie. I nas zatrzymali. I z karabinami do nas. Więc myśmy wpadli do bramy, do drzwi właściwie, na rogu ulicy Koszykowej Chałubińskiego i Niepodległości, ale po prawej stronie, to znaczy od strony politechniki, i tam jeden z kolegów dostał postrzał w rękę, drugi postrzał w dłoń, bo już strzelali Niemcy, a my wpadliśmy do środka. Niemcy chcieli wejść za nami, ale okazało się, że w środku już było dwudziestu akowców, jak się później dowiedziałem, oddział porucznika „Białego”, taki miał pseudonim, „Biały”. Nie pamiętam, z jakiego on był zgrupowania, w każdym razie AK, oni mieli tam właśnie punkt zborny, ale niestety byli bardzo słabo uzbrojeni. A my w ogóle nieuzbrojeni. Bo cała broń była na wozie. A wóz pojechał. Później dowiedziałem się, że wóz był przejęty, na szczęście, przez inny oddział AK i dowódca oddziału, który przejął to, dał pokwitowanie odbioru tej broni. Tylko że niestety my byliśmy wyszkoleni w użyciu tej broni, w użyciu PIAT-ów. A to był bardzo cenny przecież ładunek, to była bardzo cenna broń, bo to były rusznice przeciwpancerne, rzadko spotykane w uzbrojeniu AK. Myśmy mieli to ze zrzutów od komandosów. Tak że nie wiem, czy oni zrobili dobry użytek z tego, miejmy nadzieję, że tak, ale nie wiem nawet. W każdym razie my byliśmy, dwadzieścia sześć osób, z kilkoma pistoletami, z dwoma karabinami, z bardzo małą ilością amunicji, oblężenie przez Niemców, bo z jednej strony w Alei Niepodległości w tym budynku takim dużym byli esesmani, z drugiej strony Ministerstwo Komunikacji na ulicy Chałubińskiego, banszuce i esesmani, a w gmachu

fizyki, który sąsiadował z budynkiem, gdzie byliśmy, stał znowu oddział esesmanów. Tak że dosłownie byliśmy w takim kotle. A porucznik „Biały”, który objął komendę, a ja byłem jego zastępcą, zdecydował się na atak poprzez dach na Ministerstwo Komunikacji, bo to właśnie była ich... Z tym że, znowu, oni mieli dostać broń, która nie dotarła. Po prostu powstanie wybuchło za wcześnie. O dwie godziny za wcześnie. Poprzez właśnie jakieś przypadkowe zupełnie strzały, ktoś się nie wytrzymał, ktoś... No nie wiem, co to było, ale w każdym razie... Przez to bardzo wiele oddziałów zostało bez broni albo nie w tym miejscu, gdzie trzeba, albo osaczonych tak jak my. Ale atak się nie udał. Żołnierz, który miał po dachu dostać się do wejścia, do tego marszrutu, do Ministerstwa Komunikacji, został zastrzelony po prostu, Niemcy się zorientowali, i on leżał tam, już przy ministerstwie, ale tam został. Chcieliśmy się ewakuować przez okno, bo wejścia były wszystkie bronione przez Niemców, chcieliśmy przez okno na ulicę Koszykową, tam od strony Politechniki. i mój kolega z mojego oddziału, Andrzej Grocholski, młody chłopak, wysportowany, bardzo wysoki, mówi: „A, Jacek, to ja wyskoczę – byliśmy na pierwszym piętrze – ja zeskoczę tam na ten”... I wylazł za okno, i w tym momencie dostał kulę w nogę. Na szczęście kość nieruszona, tylko kula przeszła przez tydkę. I on wskoczył z powrotem, mówi: „O cholera, dostałem”. Ten gmach, gdzie byliśmy, to się okazał szpital w ogóle, szkoła pielęgniarek. Tam go opatrzyli, ale więcej żeśmy nie próbowali, bo widzieliśmy, że po prostu nas bardzo pilnują. Jak tylko ktoś się wychylił, to strzelali. Więc postanowiliśmy doczekać do nocy i nocą ewakuować się przez ulicę Koszykową w stronę politechniki, w stronę ulicy Nowakowskiego, i tam naokoło dołączyć do naszego oddziału, który prawdopodobnie zmienił miejsce pobytu, ale mieliśmy szukać. No i rzeczywiście, poczekaliśmy do drugiej nocy, aż się wszystko uspokoiło, bo były strzały, huki, ale od drugiej mniej więcej wszystko się uspokoiło. Tam jeszcze po drodze drugi żołnierz zginął z tego oddziału porucznika, więc w końcu dwudziestu czterech nas było. Podzieliliśmy się na trzy grupy. Pierwszą grupę prowadził porucznik „Biały”, drugą grupę prowadził któryś z jego żołnierzy, trzecią grupę ja prowadziłem, po ośmiu. I pierwsza grupa wydostała się przez taką bramę, która wychodziła na ulicę Koszykową, wewnętrzna taka brama, jednej strony wychodziła na ulicę Koszykową, a z drugiej strony na dziedziniec, na Ministerstwo Komunikacji, na taki dziedziniec wewnętrzny Ministerstwa Komunikacji. No niestety. I pierwsza grupa wyszła po cichutku i przeszła niezauważona wzdłuż muru ulicą Koszykową, i tam, na ulicy Nowakowskiego, już były nasze oddziały. Druga grupa też przeszła niezauważona. I jak moja grupa wchodziła w ogóle do bramy, to już Niemcy byli obudzeni przez drugą grupę niestety. Jak weszliśmy do bramy, był huraganowy ogień z pistoletów maszynowych, z góry, z Ministerstwa Komunikacji. Tak że z naszego oddziału czterech od razu poległo tam, w tej bramie. Ja dostałem postrzał właśnie i padłem nieprzytomny, bo kula weszła koło kręgosłupa i przeszła wzdłuż kręgosłupa 30 centymetrów, niszcząc korzonki nerwowe. Tak że ja padłem zupełnie nieprzytomny. ale bardzo szybko oprzytomniałem, z tym że byłem kompletnie sparaliżowany. Tylko ręce jeszcze były czynne, a tak to flak. Doczołgałem się rękami do ściany, bo Niemcy ciągle strzelali. Tłukli. Obok mnie był kolega, który dostał postrzał w nogi, leżał i strasznie krzyczał, bo bolało go okropnie, bo miał pocharatane nogi. A Niemcy ciągle strzelali i w końcu go zabili. Więc jak się uciszyło wszystko, ja leżałem już pod ścianą tej bramy, jak już się wszystko uciszyło, to wyszły pielęgniarki i lekarze i patrzą, a tutaj trupy leżą. To trzem z naszej grupy udało się wybiec na ulicę Koszykową i dotrzeć do oddziałów. Więc tych poległych zabrali, mnie zabrali, ale ponieważ ja byłem taki półprzytomny, a zupełnie nie ruszałem się, to położyli mnie na taki wózek dla trupów, ale do piwicy nie, tylko zostawili na korytarzu i ja tak leżałem na tym wózku. Ale oni myśleli, że ja właściwie zaraz kipnę. No i wtedy, po pewnym czasie, przyszedł lekarz i zapytał, co mnie boli. Ja mówię: „Nogi mnie bolą”. On patrzy, patrzy, nogi całe, absolutnie. Patrzy, rany nie widać, nic nie widać, tylko... Ale obrócił mnie na bok, a patrzy, a jednak w plecach dziura i krew. Włot jest, a wylotu nie ma, znaczy kula jest w środku. Głową pokiwał i zo-

stawił mnie. Ja się sam podłożyłem, bo miałem jeszcze granat za pasem i podłożyłem sobie pod plecy, bo mnie tak coś plecy bolały, bo jak się na płasko leży, to plecy bolą. Więc ja sobie granat podłożyłem pod te plecy i tak leżałem. I znowu po pewnym czasie przyszedł lekarz, popatrzył, popatrzył, jeszcze żyję, mówi, no to zabieramy do szpitala. Zabrali, położyli, dali kartę choroby, że jestem chory na tyfus i na ślepą kiszkę, dali plaster na brzuchu, bo wiedzieli, że Niemcy wejdą i będą szukać żołnierzy. Jak oni mówią, bandytów. I wtedy rzeczywiście Niemcy rano przyszli, jakiś oficer SS z jakimś lekarzem ichnim, od łóżka do łóżka sprawdzali i szukali, gdzie ci bandyci, gdzie ci bandyci. Więc oni pokazali, tam w piwnicy leżą. A reszta uciekła. I mnie zostawili w spokoju. Bali się bardzo tyfusu. A ponieważ było rozpoznanie: tyfus, to tam z daleka. Z tym że ja byłem kompletnie sparaliżowany wtedy. Rękami mogłem ruszać, ale tak to... I byłem taki półprzytomny. I tak leżałem, prawie jak trup. To trwało tydzień, dwa tygodnie. Później już troszeczkę oprzytomniałem, ale byłem kompletnie sparaliżowany. No wtedy były... Z jednej strony były naloty, było bombardowanie, dzień, gdzie Warszawa się broniła, Niemcy, Niemców z kolei bombardowali trochę Rosjanie, a generalnie przylatywały samoloty z Włoch z żywnością, bronią amunicją, zrzuty robili dla powstańców. To były załogi polskie, startujące z Włoch. Oni latali na ochotnika i niestety bardzo wielu zostało strąconych, bo dzięki Stalinowi, który zdradził sojuszników, nie pozwolił tym naszym samolotom wylądować na lotniskach wojskowych, które były bardzo blisko Warszawy, żeby tam nabrać benzynę, tylko oni musieli z pełnymi bakami na powrót lecieć, przez co byli bardziej obciążeni i zabierali mniej zrzutów, ale tak szczerze mówiąc, z tych zrzutów bardzo niewiele docierało do powstańców. Większość lądowała u Niemców. Tak że straty polskich lotników były ogromne i w dużej mierze stracone. To był skandal, to po prostu zbrodnia Stalina, któraś tam z rządu, że nie pozwolił tym samolotom lądować, złośliwie. A z drugiej strony nieporadność aliantów, Amerykanów i Brytyjczyków, że nie chcieli wymusić zgody na lądowanie. Bo w końcu mogli, powiedzieli, że jak wy nie pozwolicie lądować, to my wam nie damy pomocy. Bo przecież Rosjanie wtedy bardzo wiele broni dostawali drogą morską, byli zaopatrzeni. I taka nieporadność właśnie. I Churchilla i Roosevelta. Zresztą najlepszy dowód, Jałta. Zdradzili Polskę. I nie tylko Polskę, ale kraje, które podarowali Rosjanom pod wpływem. To było naprawdę okropne z punktu widzenia ludzkiego, politycznego. No i tak po sześćdziesięciu kilku dniach powstanie upadło. I ja wtedy już mogłem przy pomocy pielęgniarek być przesadzonym na taki wózek, i podjeżdżałem do okna, i widziałem tłumy, tłumy Warszawiaków idących kolumnami, albo tłumem właściwie, w kierunku Pruszkowa. I w pewnym momencie zauważyłem mojego szwagra. I mówi: „A”... Krzyknąłem: „Stachu”. Stach Tomaszewski. I on mnie zauważył, i mówi: „Moi bracia zginęli, rodzice zginęli, tylko jeden brat został”. No i poszedł. Ale powiedział tam lekarzom w Pruszkowie, że ja tu jestem... Aha, bo ja go prosiłem, żeby zawiadomił moją mamę. Ja nie wiedziałem, gdzie mama jest. Ale była na Żoliborzu w czasie powstania. A moja matka była lekarką.